

Z teatru

Witkacy i Mrozek

„Zabawa” Sławomira Mrożka i „Jan Maciej Karol Wścieklica” Stanisława Ignacego Witkiewicza — w Teatrze Ziemi Mazowieckiej. Reżyseria Krystyna Berwińska. Scenografia Krzysztof Pankiewicz.

„WŚCIEKLICA” przemieszany „Zabawą”! Teatr dokonał ryzykownego, interesującego zespolenia Mrożka i Witkacego. Jednoaktówka o trzech parobkach, zięjących nudą z braku „zabawy”, pełni rolę preludeum do dramatu wójta-prezydenta, zmaganego „bebechowatością” własnej osobowości. Na zakończenie — znów akord: „Gdzie zabawa?” Jakby w pogoni za zabawą, trzech parobków wpada na scenę, na której przed chwilą Wścieklica darł duszę na strzępy. „Ludzie, dajcie nam zabawę!” — staje się zawołaniem symbolicznym. Obie sztuki zgrano w tonacji rozpaczliwego wzywania o krzytę inicjatywy, o cokolwiek konstruktywnego.

Taki zabieg inscenizacyjny ujawnił podobieństwa Mrożka i Witkacego. Są sobie bliscy z ducha, z groteskowej formy, z satyrycznego widzenia świata. Ale i różnice doszły do głosu, a nawet zaważyły na kompozycji.

Sytuacja, w której bohaterowie obu sztuk weszli na scenę, jest identyczna. Tu i tam chodzi o moment, w którym pekają bariery społeczne. Tu i tam chodziło indywidualizm, nie dorosłe do zmian, w jakie je wciąż życie. „Wścieklica” jednak powstał w 1922 r., „Zabawa” — 40 lat później. Historyczność w spektaklu

się nie pokrywa, mimo wszystkich jasnowidztw Witkacego i mimo ogromnych starań o jednolitość przedstawienia.

Sprawy parobków odczuwamy więc jako problem bardziej społeczny, bardziej dzisiejszy.

Mrozek przemawia prościej, dosadniej i treściwiej. Witkacy zalewa huraganem metafor, spiętrzanych dla samej formy, dla dowcipu. Zestawienie dwóch autorów w osobnym ujęciu traci dysonans. Ale jest coś, co każe widzieć problem w kontynuacji.

„Wścieklica” spleta się w przedstawieniu z „Zabawą”, a jak wiadomo „Zabawa” parodiuje „Wesele”. W połączeniu dwóch pierwszych sztuk wyszło na jaw, że choć po nazwisku nie wymieniany, wyspiański pasuje jak ulał do spółki „Witkacy and Mrozek”. Mimo że wydać by się to mogło paralełą niebotycznie ryzykowną, przedstawienie ma ambicje nawiązania do tryptyku o niedowładzie przemian politycznych, społecznych, kulturalnych w historii Polski, wyrażonych raz utratą „złotego rogu”, innym razem — uporczywym szukaniem „zabawy”. Wścieklica — sprzeniewierzony sam sobie, łamiący się wewnętrznie, targany falą wydarzeń przerażających jego siły i możliwości, jest ogniwem, które się powtarza w polskim dramacie narodowym.

Siła przedstawienia, które dał Teatr Ziemi Mazowieckiej polega na tym, że mimo potknięć i peknięć, skłania ono do porównań przeszłości i teraźniejszości. Słucha się znakomicie. Raz po raz sala wybucha śmiechem, pobudzona tym czy innym refleksem satyrycznym. Dla oka — obraz mniej apetyczny i w udziwieniu nie odkrywczy. Scenografia pod hasłem „wszech-bebeszenia” bardziej pasuje do „Wścieklicy”, z „Zabawą” raczej kontrastuje. Ale przecież postawiono na jedność miejsca i akcji. Z zamysłem reżyserskim można dyskutować, ale trudno nie dostrzec konsekwencji w jego realizowaniu. Gra aktorska — popisowo zespołowa.

Wymieńmy więc trzech parobków, których z powodzeniem uosabiali Robert Rogalski, Klemens Milezarek i Jerzy Fróchnicki. Jana Karola Macieja Wścieklicę grał Jerzy Radwan w rozpięciu między werwą, a niemocą. Z jego otoczenia Irena Skwierczyńska (Wścieklicowa), Maria Treutz-Kuszyńska (nauczycielka), Zofia Steer (Walentyna de Pellinée) najtrafniej oddawały koloryt sztuk Witkacego.